Nr. 14. Kraków, Środa, 19 stycznia 1910. Rok III.

GAZETA POWSZECHNA

Wychodzi
CODZIENNIE
o godz. 3 popoł.

Do nabycia w całym kraju w trafikach i biurach dzienników.

PRENUMERATA: w Krakowie już z dostawą do domu i na prowincji miesięcznie 1 Kor. 50 h. (kwartalnie 4 Kor. 50 h.). W Niemczech kwartalnie 5 Kor. 50 hal.; w innych krajach, należących do związku pocztowego, kwartalnie 7 Kor. 50 hal.

Ogłoszenia: od miejsca za jednoszpaltowy wiersz petitowy 20 hal. za pierwszy raz, za każdy następny po 10 hal. — Drobne ogłoszenia po 4 hal. od słowa, najmniej jednak 10 słów. — Nadesłane po 60 hal. od wiersza. — Załączniki w miejscu 1 kor. od setki, na prowincję 2 korony.

Redakcja i Administracja: ul. Florjańska l. 32, II p. — Telefon Nr. 565.

Pojedynczy numer
6 hal.
tak w Krakowie jak i na prowincji.

Wydawca: Za spółkę wydawniczą Władysław Wąsowicz. „Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Władysław Wąsowicz.

Sprawozdanie

z procesu Borowskiej

wewnątrz numeru zawiera:

Z poniedziałkowej rozprawy popołudn.
Z galerji sądowej.
Pobudki czynu.
Przewidywanie wyroku.
Szósty dzień rozprawy.

Niebezpieczna gra.

(Obrona p. Głąbińskiego).

Lwów, dnia 16 stycznia.

= W dyskusji budżetowej zabrał głos sam pan prezes Koła polskiego dr Stanisław Głąbiński. Było ta w sobotę po południu w porze „drugiego śniadania“ — więć p. prezes nie miał tylu słuchaczy, ileby mu się słusznie, jako prezesowi Koła polskiego, należało. Przytem p. Głąbiński oratorem ani mówcą nie jest; ma specjalny talent wygłaszania mów nudnych, [illegible] przypominających swym szelestem wodę wyciekającą z wodociągu. Do tego wszystkiego ludzie jednak mieli już czas się przyzwyczaić — więc słuchali posłowie w sobotę p. Głąbińskiego; jedni z grzeczności, drudzy z ciekawości zwłaszcza, że od dwóch dni padały ustawiczne zarzuty przeciw polityce większości Koła polskiego, w czem ks. Stojałowski odkrył ni mniej ni więcej tylko „konspirację antydemokratyczną“ wielkich i małych rolników.

Zapewne, że konspiracja wielkich rolników przeciw całemu ruchowi demokratycznemu w Galicji istniała, istnieje i długo jeszcze istniała będzie. Ale dlaczego do tej konspiracji wciąga się i tych „małych rolników“, którzy są — można powiedzieć — jedynymi szczerymi demokratami w naszym kraju i demokratyzm mają nietylko na ustach ale i w czynie — to byłoby zagadką dla nas, gdybyśmy nie wiedzieli do czego podstępna metoda spółki politycznej Głąbiński-Stojałowski zmierza. Ale o tem kiedyindziej — bo na razie chcemy pomówić o p. Głąbińskim.

P. Głąbiński swą mowę zaczął od wyrażenia „zdziwienia“ i „ubolewania“, że na Sejmie ośmielono się mówić o polityce Koła polskiego we Wiedniu. Od szeregu lat udowadniali narodowi demokraci, że Koło polskie jest tylko „emanacją Sejmu“, że Sejm jest kręgosłupem polskiej polityki. A kiedy tylko zabrano się raz na serjo do tej polityki, p. Głąbiński... „ubolewa“. Dlaczego? Czyż Sejm jest wartością mniej znaczącą niż Organizacja Narodowa IV-go okręgu (kabalistyczne ON_4)?! Czy Sejm nie współpracuje z tą polityką? Czy jedną z najważniejszych kompetencji Koła polskiego we Wiedniu nie jest egzekwowanie tych uchwał Sejmu w centralnym rządzie? Czy wogóle najważniejszym tematem dyskusji budżetowej nie była zawsze dotąd polityka wiedeńska, bo tam przecie -- niestety — nabierają nasze ustawy krajowe mocy prawa.

Więc o wartości i kierunku, dobroci czy szkodliwości tej polityki mówić nie można publicznie w Sejmie? Cóż to znowu za obyczaje chce obecny prezes Koła wprowadzić w nasze życie publiczne?

Pytamy się kiedy p. Głąbiński zdał publiczne sprawozdanie ze swego włodarstwa — jak powiada — we Wiedniu? Jak długo p. Głąbiński jest prezesem nigdy nie ośmielił się stanąć otwarcie, oko w oko, wobec swych własnych wyborców. Zawsze chował się po za kordon wszechpolskiej „bojówki“, zawsze urządzał tylko pogadanki ze swymi najbliższymi, zaproszonymi przyjaciółmi, którzy nigdy dotąd nie puścili z ust ani pary krytyki, a ograniczali się tylko do cielęcych zachwytów nad tem, czego to „ich ukochany prezes“ nie dokazuje w Wiedniu.

Tak samo robili dawniej konserwatywni prezesi i dlatego ich zmieniono. A tu przychodzi demokrata i powiada: „wara Sejmowi do tego, co my robimy w Wiedniu!“ — zdamy rachunek z naszej pracy gdzieindziej. Jest to stanowisko nietylko nie demokratyczne, ale wprost niegodne poważnego polityka, stanowisko przytem obłudne, jednem słowem wszechpolskie.

I o co chodziło głównie w tej krytyce? Przedewszystkiem o traktaty handlowe i związaną z nimi subwencję rolniczą, tj. o sprawę, która nietylko Sejm bezpośrednio obchodzi, bo o niej wypowiedział swego czasu swe zdanie w znanej rezolucji, ale o sprawę, która właściwie należy do kompetencji Sejmu. Bo wszak nawet organy wszechpolskie przyznają, że sposób rozdziału subwencji rolniczej winien należeć do Sejmu.

I kiedy Sejm zajął się swą własną sprawą, p. Głąbiński „ubolewa„ i powiada: wss to nic nie obchodzi. — Przy tem wszystkiem p. Głąbiński jest autonomistą, gawędzi gdzieś tam po kątach o rozszerzeniu autonomji kraju, o *lex sala*, jest wszechpolakiem, w uroczystości narodowe deklamuje, że „Jeszcze nie zginęła“....! że będzie „od morza do morza“ i t. d.

Wiemy dlaczego p. Głąbiński „ubolewa“ nad dyskusją, zahaczającą o politykę Koła polskiego. Bo o polityce „Koła polskiego“ żaden trzeźwo i uczciwie myślący Polak nic dobrego obecnie powiedzieć nie może. Raz ostatecznie trzeba się było z nią rozprawić. Że uczynili to głównie konserwatyści — mając oczywiście także osobiste porachunki -- to w istocie rzeczy nic nie zmienia. Krytyka była słuszna, uzasadniona i coby jej można zarzucić to to, że była zbyt oględna, delikatna i pełna zastrzeżeń, bez których zresztą żaden konserwatysta mowy nie wypowie.

Ośrodkiem jej był sposób rozdziału subwencji rolniczych na traktaty, ustanowiony przez rząd w porozumieniu z p. Głąbińskim i Rusinami. Dwa tygodnie trwa już w prasie polskiej polemika na ten temat i dotąd jeszcze nie wiemy, jak jest właściwie z temi subwencjami. Onegdajsze wyjaśnienie p. Głąbińskiego, sprawy także nie wyjaśniło i jest takiem samem krętactwem, jak wszystkie na ten temat artykuły „Słowa polskiego“. Z tej gmatwaniny krętactw można wyłuskać dwa fakty, a oba są ciężką porażką Koła polskiego: 1) że Koło polskie oddało ostateczną decyzję nad rozdziałem subwencji ministerstwa rolnictwa; 2) że Koło polskie dopuściło do zobowiązującego oświadczenia rządu, iż Rusinom dostanie się część subwencji bezpośrednio od ministerstwa. To są fakty i jeden jak drugi fakt naigrawa się z *lex sala* i kpi z zasady, że spory z Rusinami mogą być załatwiane tylko w kraju. P. Głąbiński mimo to, pyta: co się stało takiego, co ten prezes takiego zrobił? Czy warto robić tyle hałasu o nic?

Metoda p. Głąbińskiego jest dla naszej szczupłej autonomji bardzo niebezpieczna. P. Głąbiński wie dobrze, że stało się źle i że tego rodzaju precedens jest dla przyszłości kraju naszego bardzo groźny. Ale p. Głąbiński nie chce się przyznać do winy. P. Głąbiński udaje maga politycznego. P. Głąbiński lezie coraz dalej w błoto krętactw i powiada: Nic się przecież nie stało.

W sprawach kultury pominięto zupełnie Sejm, złamano zasadę politycznych porachunków z Rusinami w kraju — i prezes Koła powiada publicznie w Sejmie: „Nic się nie stało“; możnaby ostatecznie przeboleć ten jeden wypadek, który się stał z winy powolnego i kiepskiego (jak zwykle) orjentowania się obecnego prezesa. Należało się uderzyć w piersi i powiedzieć: „nasza wina, na drugi raz będziemy lepiej uważali“. Ale kiedy prezes publicznie powiada: „nic się nie stało“ — robi rzecz lekkomyślną, karygodną, rzecz ze stanowiska każdego autonomisty nie do darowania i potępienia godną. Przecież przez to „nic się nie stało“ zachęca się rząd do omijania Sejmu i traktowania w sprawach krajowych bezpośrednio z Rusinami, którymi — za wysługi pana prezesa Niemcom — zaopiekował się p. Sylwester i całe nieszczęście sprowadził.

P. Głąbiński razem ze swymi przyjaciółmi, rozpoczął grę bardzo niebezpieczną. Dla ratowania honoru i swej „przenikliwości“ politycznej zaczął igrać ze strzępami naszej autonomji krajowej. Że gra nie warta takiej ofiary — o tem wie dobrze p. Głąbiński i wszechpolacy. Ale upór, zarozumiałość, arogancja idzie u wszechpolaków zawsze przodem, a „interes narodowy“ zależy od tego, czy on jest interesem wszechpolskim czy nie.

Ten jedyny punkt mowy p. Głąbińskiego nadaje się do dyskusji i krytyki. Inne rzeczy — a zwłaszcza uwagi jego o solidarności i „zdobyczach“ Koła — to makulatura.

Mowa posła Stapińskiego

wygłoszona w Sejmie w dniu 17 stycznia 1910 nad rozprawą budżetową.

Na wczorajszem wieczornem posiedzeniu Sejmu zabrał głos nad rozprawą budżetową pos. Stapiński. Mowę jego przytaczamy według telegramów Biura korespondencyjnego:

Pos. Stapiński poprosił na początku o względność z tego powodu, że dłużej przemawiał będzie, ale nagromadziło się wiele rzeczy, które chce wyjaśnić albo na nie odpowiedzieć. Stwierdza przedewszystkiem, że żadnego sojuszu ani cichego ani głośnego nie było pomiędzy partją ludową a stronnictwem konserwatywnem a każde twierdzenie w tym kierunku, jest niczem innem jak tylko kłamstwem. Porozumienie istniało w sprawie wyborów do Sejmu i to w styczności ze wstąpieniem ludowców do Koła polskiego, między któremi to sprawami krakowski organ konserwatystów stawiał iunctim.

Pos. Jaworski woła: Tak jest.

Pos. Stapiński: O trwałym sojuszu nie mogło być mowy, bo sojusz taki jest niemożliwy a poza sprawami, które nadają się do wspólnego omawiania, jak n. p. sprawy rolnicze, istnieje cały szereg zasadniczych różnic, n. p. w kwestji wyborczej, które nie nadają się do wspólnego

traktowania. Co do sprawy ruskiej, mowca prosi, aby Stronnictwa ludowego nie sądzono według polityki tych, którzy mu chcą szkodzić, lecz według znanych zasad programu ludowców, które wyraźnie mówią, że ludowcy w imię sprawiedliwości wymagają, aby na ziemiach polskich żywioł polski, ruski i litewski pod względem uprawnień politycznych stały na równi. Co do postępowania Stronnictwa ludowego, obstaje przy zasadzie, że przystąpić do rozwiązania kwestji ruskiej można tylko wspólnie z reprezentantami wszystkich stronnictw.

Pod względem administracji państwowej w kraju stronnictwo ludowe ma wiele żalów. Skarży się, że w urzędach podatkowych mówi się chłopom, którzy narzekają na wysokie podatki, że temu winni są posłowie ludowi, którzy zanadto wielkie podatki nakładają na szkoły. Mowca musi stanowczo zaprotestować przeciw takiemu podburzaniu przy kasie państwowej. W ogólności zaś w sprawie administracji państwowej Stronnictwo ludowe czeka na sposób załatwienia sprawy propinacji, od której ogromnie dużo w stosunkach naszych zawisło.

Co do reformy wyborczej Stronnictwo trwa dalej przy tem, aby przyszłe wybory odbyły się na zasadzie powszechnego prawa tj. na tej samej zasadzie, na której odbyły się wybory do parlamentu. Następnie mowca przeszedł do określenia solidarności Koła polskiego w parlamencie i oświadczył, że dzisiaj ta solidarność według zdania Stronnictwa ludowego stała się jeszcze bardziej trudną niż przedtem, bo położenie narodu polskiego w Austrji pogorszyło się. Na Śląsku germanizacja święci istne orgie a wogóle w Austrji powiał wiatr wszechniemiecki. Na wschodzie kraju społeczeństwo ruskie wzrasta w siły a jeżeli sprawa polsko-ruska ma być rozwiązaną po myśli sprawiedliwości ale bez szkody naszego narodu to również jest nieodzowną koncentracja sił narodowych. Mowca przyznaje, że był jeden fakt, w którym ludowcy wyraźnie oświadczyli, że jako całość klubowa nie mogą utrzymać solidarności Koła polskiego. Ale jeżeli się foruje wyrok, to potrzeba sądzić nietylko o skutkach, ale i o przyczynach. Potrzeba wejść w położenie, w jakiem podówczas było Koło polskie.

Mowca przyjmuje w zupełności zarzut, że czas od maja do grudnia był zupełnie zmarnowany. Poświęciliśmy ten czas na wszystko inne, tylko nie na własne sprawy. Zajęci byliśmy pacyfikowaniem Izby, godzeniem Czechów z Niemcami, przez całe miesiące a przyszli inni, i w trzech dniach sprawę załatwili. Padł ze strony posła Starowiejskiego zarzut co do złamania solidarności w sprawie traktatów handlowych. Ludowcy wychodzili z przekonania, co zresztą było i opinją Sejmu, że jestto sprawa dla naszego kraju pierwszorzędnej wagi i dla drobnego włościaństwa kwestja egzystencji. Koło polskie wyrwało się z oświadczeniem zupełnie bez potrzeby, za traktatami, co naturalnie uniemożliwiło rokowania o korzystniejsze odszkodowania. (Głosy: Ma rację!). Przyszedł Sejm, dyskusja długa, wszechstronna i trudna. Wyszliśmy stąd jednakże z przekonaniem, że Koło polskie stanie w obronie kraju przynajmniej co do traktatów z innemi państwami. Obrony takiej jednakże na razie nie było.

Jako członek prezydjum Koła polskiego mowca stwierdza, że ani śladu akcji w tym kierunku nie zauważył.

Pos. Skarbek: Dlaczego?

Pos. Stapiński: Bo prezes zajęty był konferencjami. Ja w jednym wypadku chciałem na własną rękę interweniować, ale spotkałem się natychmiast z groźbą najdalej posuniętych konsekwencji i musiałem się usunąć. Dalej skoro tylko zjawił się minister handlu Weiskirchner, na wstępie powiedziało mu się: „Jesteśmy za traktatami", tak, że dopiero posłowie: Starzyński i Kozłowski przyszli nam z pomocą. Mimo głosów, że ta sprawa tu nie należy, mowca przez długi czas napadany i atakowany publicznie musi się usprawiedliwić i na zarzuty odpowiedzieć.

Przyszło do walki dwu spraw, dwu interesów: miasta i wsi. Ludowcy nie mogli do powieszenia włościan przyłożyć ręki, a ponieważ nie widzieli ani śladu obrony interesów tego kraju i nie widzieli respektowania uchwały Sejmu, z rozpaczy popełnili błąd; inne zarzuty spotkały mowcę w sprawie przedłożenia finansowego ukrajowienia domen i innych. Mowca uważa za błąd, że przedłożenia te przychodzą na stół bez poprzedniego porozumienia się z Kołem. Zaznacza też mowca uwagę, że w najbliższej przyszłości gotuje się śmiertelny cios dla zasad autonomji, a mianowicie rząd znów wniesie bez żadnego porozumienia się przedłożenie o rozdziale okręgów w Czechach i przedłożenie narodowościowe, a sprawa ta raz uchwalona stanie się raz precedensem dla Galicji. Co do sprawy domen zaznacza mowca, że jest pewne stronnictwo, które zasadniczo, jeżeli potrzeba, oświadcza się za ukrajowieniem domen, ale kiedy idzie o wyłapywanie urzędników dla siebie, podnosi hasło: „Precz z domenami".

Organ tego stronnictwa od szeregu miesięcy oddany jest do dyspozycji posłowi, który takie właśnie zajmuje w nim stanowisko. Mowca musi podnieść jeszcze jeden błąd. W Kole polskiem opuściliśmy linję pośrednią, zasadniczą linię polityki polskiej, polityki wolnej ręki, za to zyskało się ze strony niemieckiej z wdzięczności to, że przy pierwszej sposobności zainterweniowali przeciwko nam, po stronie zaś przeciwnej nie zyskało się zaś chyba sympatji. Co do zarzutu o dążenie do rozwiązania Rady państwa, mowca oświadcza, że ludowcom nie szło wcale o jakieś względy mandatowe, ale liczyliśmy się z tym faktem, jako z ostateczną ucieczką z rozpaczliwego położenia. Mówi się, że statut Koła polskiego winien temu; mowca odpowiada, że statut ten jest jeszcze szczęściem w nieszczęściu, bo gdyby był np. inny, to pos. Kolischer nie byłby wszedł w skład komisji budżetowej, a nadto zapewne inaczejby wypadły były wybory do prezydjum, delegacji, komisji itd. Co do swojej osoby mowca wyraźnie oświadcza, że akcji swojej od czerwca do końca grudnia zeszłego roku, kiedy to odciągał Koło polskie od Niemców, nietylko się nie wypiera, ale owszem nią się szczyci. Prezes Koła polskiego wprawdzie sam starał się powściągać napaści, których dopuszczało się stronnictwo jego, które dzień po dniu przedstawiało mowcę a więc wiceprezesa Koła polskiego, jako człowieka bez czci i wiary i przeniewiercę.

Skoro jednakże prezes Koła polskiego jest przywódcą tego stronnictwa, to nie dziw, że go ludowcy czynią odpowiedzialnym za postępowanie narodowych demokratów.

Nie podobna mówić o solidarnem Kole polskiem, jeżeli się takiemi środkami w kraju walczy; zresztą nie tyczy się to tylko ataków na Stronnictwo ludowe — tego samego doznali pos. Kozłowski i pos. Petelenz — kto tylko nie był powolnem narzędziem tego tak długo terroryzowano aż złamany ustąpił. Mówi się, że stronnictwo wszechpolskie jednoczy, tymczasem z tego jednoczenia wychodzi jeszcze większe rozbicie; do wszystkich obozów wnosi się walkę, w całym kraju rozpala się agitację tej miary i na podstawie takich wyzwisk jak to dotychczas nie bywało.

Następnie omawiał mowca sprawę Banku parcelacyjnego, który nazwał miarą stosunków, w jakich się znajdujemy, przytoczył znaną uchwałę Rady naczelnej Stronnictwa ludowego w tej sprawie i dodał, że ludowcy nie chcą żadnego folgowania i domagają się ukarania winnych, gdyby się kto winnym okazał.

Ale właściwie jak rzeczy się miały?

Już od 3 miesięcy mowca wiedział, że odbyło się zgromadzenie wszechpolskie i tam wykalkulowano, że na czem jak na czem ale na Banku parcelacyjnym będzie można Stapińskiego położyć i nazajutrz pojawiły się w dziennikach artykuły.

Pos. Adam: Gdzie się to odbyło?

Pos. Stapiński: We Wiedniu. Starano się zapobiedz wszelkiej interwencji, aby ktoś nie odważył się odwrócić katastrofy. Dalej opowiadał pos. Stapiński wśród przerywań hr. Skarbka, jak wszechpolacy starali się groźbą wszystkich powstrzymać od interwencji w sprawie Banku, pisali do wszystkich parcelacji polecenia, aby tam niecić jak największy postrach. Na szczęście okazało się, że cała ta akcja prawie żadnego skutku nie odniosła. Wszechpolacy chcąc utrącić Bank parcelacyjny, założyli konkurencyjny Bank ziemski w Łańcucie. W końcu Sejm wykluczył Bank parcelacyjny od kredytu w Banku krajowym, Bank parcelacyjny musiał pożyczać na 8 i 9% a majątki na parcelacje przeznaczone przynoszą zaledwie 1 i 1/2%. Wobec tego dyrekcja z powodu trudnych warunków żądała podwyższenia cen. Co zaś do administracji Banku, to komisja kontrolująca oraz związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych przeprowadził kontrolę i za parę dni ma być ogłoszony komunikat.

Dalej podnosi mowca, że wszystkie organa wszechpolskie z powodu Banku parcelacyjnego napadły na niego osobiście; szermuje się także anonsami, które Bank pomieszczał w „Przyjacielu ludu", ale dzisiaj to, co Bank zapłacił „Przyjacielowi ludu" za anonse, mowca obecnie z grubymi procentami zwrócił i tem swój dług wyrównał.

Pos. Tertil przerywa jakąś uwagą.

Pos. Stapiński; Życzyłbym tylko innym pismom, aby one długi zaciągnięte w publicznych instytucjach płaciły. (Głosy: Bardzo dobrze).

Mówiono tu o haśle „Wielcy i mali rolnicy łączcie się". Hasło to na te czasy nie jest odpowiednem. Mowca stawia hasło inne: „Ludzie dobrej woli łączcie się" — kto zaś przeszkadza robocie publicznej i staje poza jej nawiasem, tego należy wykluczyć. (Oklaski),

W sprawie Banku parcelacyjnego.

I.

Umyślnie przeczekaliśmy kilkanaście dni po pierwszej nagonce wszechpolaków na Bank parcelacyjny, aby wrogom tej instytucji i ludowców dać możność wyczerpać wszystkie pozorne dowody i wykazać potem, że jedynie rodzą się one w zawiści partyjnej i są atakiem politycznym, który nie miał zawieść.

Wszechpolacy spodziewali się, że przy tym alarmie sami urosną na gwałtownych i jedynych opiekunów ludu, że w panice ogólnej, jaką karygodna agitacja przeciw Bankowi wywołać miała, chłop straci głowę i ozemprędzej rzuci się w objęcia wilka w owczej skórze. Swędziły już ich dłonie do spadku po ludowcach a w halucynacjach chorobliwych widzieli nietylko grób polityczny Stapińskiego, ale także upadek marszałka i namiestnika, którzy zarazie wszechpolskiej do siebie nie dali przystępu i dlatego narazili się na ich ataki.

Rachuby te jednak zawiodły — bo Bankowi w ciężkiej tej sytuacji przyszedł z pomocą syndykat banków lwowskich i ofiarność prywatna ludowców — a ostatnie wyniki interesów Banku dowodzą tego, że nikt szkody nie poniesie, a w każdym razie ani jeden grosz chłopski nie przepadnie.

Ostatnia Rada Naczelna Polskiego Stronnictwa Ludowego złożyła piękny dowód swego obywatelskiego poczucia obowiązków względem zaangażowanych w Banku chłopskich pieniędzy, — choć Bank nie był instytucją Stronnictwa i za jego powodzenie, czy niepowodzenie ono od owiadać nie mogło — przecież ludowcy pospieszyli pierwsi z pomocą, dając poważną gotówkę (poseł Długosz 35.000 koron, poseł Lewakowski 10.000 kor.) i podpisując subskrypcje gwarancyjne na wysokie sumy, idące w dziesiątki tysięcy.

Wszechpolskie dzienniki, nie posiadają się ze złości, że wszystko nie zwaliło się odrazu na łeb Stapińskiego i nie pogrzebało go w swych gruzach — czynią teraz wielki alarm z powodu kwestji łączenia, czy niełączenia Banku ze Stronnictwem ludowem, dając w ten sposób dobitny dowód, iż celując w Bank parcelacyjny godzili w ludowców.

Nie pierwszy to raz ta instytucja finansowa

musi ponosić przykre konsekwencje z powodu sytuacji politycznej, a zawsze było to zwiastunem wielkich przewrotów społecznych w kraju, w których uczestniczenie chciano w ten sposób ludowcom uniemożliwić.

Gdy w kraju wrzała agitacja za reformą wyborczą do parlamentu, a potem przyszły wybory na nowej ustawie powszechnej, Bank krajowy za staraniem konserwatystów po raz pierwszy zagroził Bankowi parcelacyjnemu, że wypowie mu swoje kredyty. A gdy to jakoś nie miało wielkich skutków, uzyskali konserwatyści w Sejmie uchwałę, zamykającą kredyt tej instytucji w Banku krajowym.

Wszystko to miało na celu zgnębienie ludowców, by tem skłonniejsi byli do ustępstw politycznych. Nie udało się to jednak!

Ale też od tego czasu zaczęły się trudne czasy dla Banku parcelacyjnego, który zdobycze polityczne ludowców musiał opłacić utratą poważnego kredytu.

Począł go szukać na wszystkie strony, a spotykał się nadto z pewnym bojkotem obszarników, którzy nie chcieli bezpośrednio jemu dóbr swoich sprzedawać — musiał więc Bank nabywać je z drugiej ręki, opłacając się dużemi kwotami za pośrednictwo. Trzeba było płacić grube procenta za kredyty obce i to był pierwszy dotkliwy ślad konsekwencji politycznej za to jedynie, że kilku członków Rady Nadzorczej Banku Parcelacyjnego było posłami Stronnictwa Ludowego.

Obecny atak nie jest także niczem innem, jak tylko nagonką o celach wybitnie politycznych: osłabienie sił stronnictwa, które w kraju ma niezdobyte uczciwą drogą twierdze, a na terenie wiedeńskim zbyt bacznie patrzy na palce macherów wszechpolskich i wytrwale przeszkada rozrostowi wszechpolskiej blagi.

O nowelę do ustawy naftowej.

(*p. Władysław Długosz.*)

(Ciąg dajszy.)

Jeśli powyższe cyfry odnoszące się do austrjackiego handlu rafinadą odpowiednio pomnożymy celem uzyskania wysokości zużytego na rafinadę tę surowego produktu, a wynik zestawimy z cyframi galicyjskiej produkcji ropy, otrzymamy stąd niesłychaną dysproporcję pomiędzy podażą a popytem i obraz zabójczej dla przemysłu naftowego nadprodukcji, która w samym roku 1908 doszła do blisko 80.000 wagonów.

Nadprodukcja ta miała swą przyczynę w osobliwych stosunkach panujących w naszym górnictwie naftowym pod względem rozkładu praw kopalnianych i terenu eksploatacyjnego między poszczególne przedsiębiorstwa. Do r. 1908, w którym ustawodawcza nareszcie nastąpiła reforma, dopuszczalna była kopalniana eksploatacja najdrobniejszych choćby cząstek ziemi. Całe nasze zagłębie naftowe zaroiło się lasem wież wiertniczych, wzniesionych jedna tuż obok drugiej, bez uwagi, iż wydatność terenu w drobnej nawet mierze nie zdoła zaspokoić włożonych w przedsiębiorstwo nadziei. Rozparcelowanie pól naftowych odbiło się na przemyśle i majątku narodowym w sposób najfatalniejszy. Było ono nietylko przyczyną, iż cała przedsiębiorczość eksploatacyjna zwróciła się niemal wyłącznie do Borysławsko-Tustanowickiego Zagłębia, porzucając pracę w innych niemniej w ropę zasobnych przestrzeniach kraju, lecz, skoncentrowawszy przemysł w temże Zagłębiu, stała się też w krótkim czasie powodem jego upadku i rozkładu.

Możność założenia przedsiębiorstwa kopalnianego na skrawku ziemi dała rozlicznym spekulantom pochop do niezdrowego, oszukańczego gryndenrstwa, przy którem założenie kopalni było tylko środkiem do wyławiania układów na udziały z kieszeni łatwowiernych jednostek w kraju i zagranicą. Całkowite zdyskredytowanie naszego przemysłu naftowego, przysporzenie mu sławy przemysłu „rabunkowego“ i na zgubę ludzi czyhającego, było stosunków tych rezultatem. Atoli gorsze jeszcze wynikły skutki dla przemysłu pod względem koniecznej harmonii między wytwórczością a odbytem, którą zachwiano i zniszczono doszczętnie. Nadmiar wierceń wskutek niestosunkowego rozmnożenia się przedsiębiorstw kopalnianych i ich skoncentrowania w jednym okręgu produkcyjnym, stał się przyczyną owej gorączkowej, nie liczącej się z targiem pracy wiertniczej, z której w prostej linii wywodzą się klęski ostatniego przesilenia. Oddziaływały tu z jednej strony zbyt liczne obowiązki wiertnicze, ciążące na nabywcach pól naftowych i nie dozwalające na przerwę eksploatacji nawet w czasie najostrzejszego kryzysu, z drugiej znów strony okoliczność, iż poszczególne kopalnie z obawy przed wyczerpaniem zawartości terenu przez sąsiednie, w zbytniem pobliżu umieszczone szyby, musiały z całą gorączkowością i mimo wiedzy, iż wzmagają tylko grozę przesilenia, i że uzyskany produkt nie wyrówna zgoła kosztu eksploatacji — coraz bardziej pogłębiać swe szyby, na wyścigi zdążać w głąb, byle nie pozostać za sąsiadem w tyle. To bowiem oznaczałoby bezpowrotność kilkuletniej pracy wiertniczej i włożonego w kopalnię nakładu. Stosunki te były naturalną rezultantą anomalji, panującej w przemyśle naftowym pod względem rozdziału terenów kopalnianych, anomalji, uniemożliwiającej wszelką racjonalną politykę produkcyjną.

(C. d. n.)

Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO.

Deputacja m. Krakowa u Paderewskiego.

Deputacja miasta Krakowa, złożona z prezydenta dra Leo i pos. Bandrowskiego i Fedorowicza oraz radnego prof. Juljana Nowaka, przybyła wczoraj do Wiednia, aby wyrazić Paderewskiemu podziękowanie za ofarowany Krakowowi pomnik króla Jagiełły.

Prezydent Leo wygłosił mowę, w której wyraził Paderewskiemu imieniem miasta podziękowanie; zaznaczył, że Paderewski, jakkolwiek okrył się sławą na obu półkulach ziemi, podnosząc tem samem także świetność imienia polskiego, to nie zapomniał nigdy o Ojczyźnie, dla której zachował w swem sercu najgorętszą miłość, jako najcenniejszy klejnot. Miłości tej dał wyraz ofiarowując Krakowowi, a właściwie całej Polsce dar kosztowny, uświetniający jedną z najpiękniejszych chwil historji polskiej. To też czuję się zobowiązanym — mówił dr Leo — wyrazić Panu za to imieniem miasta Krakowa najserdeczniejsze podziękowanie.

Paderewski, wzruszony, odpowiedział dłuższem przemówieniem, w którem podkreślił, że od dawna nosił się z myślą ofiarowania miastu Krakowowi pomnika, któryby był nie tylko dziełem sztuki, ale którýby był także widomem świadectwem jakiegoś podniosłego momentu historycznego. Miłość kraju towarzyszy mi wszędzie, a im dłużej bawię na obczyźnie, miłość ta raczej

Po 12 latach katorgi.

(Z rosyjskiego.)

(Ciąg dalszy).

Nareszcie po tylu latach męki jest tu znowu. Zmrok zapadał. Na polach widać było mgłę, a po niebie przesuwały się tam i napowrót kawały czarnych chmur.

Gwiazdy na chwilę ukazały się ze swego ukrycia, lecz wnet chmury oblekły je jakby gęstą siatką. Przygnębiające wrażenie sprawiała cała okolica; wszystko miało wygląd jesienny. Na polach widać było już gdzieniegdzie światełka z domów, a widok ich rozgrzewał i ożywiał go. Wasyl Ignatjewicz spoglądał z niecierpliwością w około, jakby chciał odszukać znajome mu światełko. Tam w oddali pomiędzy innemi odnalazł je już, jakby gwiazda przewodnia świeciło mu ono. Zamyka oczy i coś pięknego widzi w swej myśli, to sylwetki jego najdroższych. Jakże chętnie chciałby ich już widzieć i uścisnąć.

— Jak wyglądać będzie Serjosza, a jak Warja? myślał i tylko jakby zamglone widział postacie syna i córki. W żaden sposób nie mógł uchwycić ani przypomnieć sobie dokładnie ani ich twarzy, ani postaci. Jakże mu przykro; tak mu są bliscy a jednak nieznani i obcy; opuścił ich kiedy byli małemi dziećmi, syn bowiem liczył lat dwanaście, córka ośm. Teraz już dorośli oboje i rzucili się w wir życia. Jak obeszło się z nimi to straszne, zagadkowe fatum życia? Czy byli szczęśliwi? Tu w pobliżu na tym wzgórzu żyją oni, tylko kilka chwil — a wszystko nieznane, będzie mu znane. Jakoś smutnie tęskno mu było w jego duszy; jakby jakaś głęboka i przykra tajemnica ukrywała się tam, poza tem ciemno mglistem powietrzem. Co się tam złego stało? Co tam jest? Myślał Wasyl Ignatjewicz.

Już jest w pobliżu swego ogrodu, psy zaczynają szczekać głośno i strasznie; słychać głosy, już ktoś bramę otwiera. Jakaś wysoka, ponura postać wychodzi przed bramę i jak wryta rozgląda się. Nareszcie tarantas zajechał przed bramę, psy szczekają jak wściekłe, ktoś je tam uspokaja. Woźnica pociągnął za lejce i konie stanęły. Wasyl Ignatjewicz wyskoczył z wozu i przypadł do stojącego w bramie człowieka. Był to wysoki, silny, rubasznie wyglądający mężczyzna, z długą czarną brodą. Nosił zgrzebną koszulę i wysokie buty. W jego oczach świeciło coś znajomego a zarazem dalekiego i obcego. Mierzył Wasyla Ignatjewicza jakimś badawczem a przecież spokojnem spojrzeniem. Wreszcie zapytał:

— Czy to ty Ojcze?

Głos jego brzmiał surowo i obco.

— Ja, ja... ja... jestem twym ojcem — odpowiedział Wasyl Ignatjewicz pospiesznie, ściskając go.

Pocałowali się.

— Oczekiwaliśmy Cię już przedtem, jeszcze za dnia... — odpowiedział syn.

— No, a teraz chodźmy do matki!

Przechodzili wązką ścieżką, którą w ciemności zaledwie można było rozpoznać. Po obu stronach wysokie i szerokie drzewa, środkiem ścieżki ciemno jak w grobie a w górze szary horyzont.

— Już tak dawno nie byłem tu, że wprost zapomniałem jak ta droga wygląda — powiedział Wasyl Ignatjewicz, śmiejąc się serdecznie.

— Jakże żyjecie tutaj? Cóż ze zdrowiem mamy? Jak się ma Warja?

— Mamie jest coraz gorzej, a Warja nie należy więcej do naszego domu; jest aktorką i włóczy się po całym świecie.

Wasyl Ignatjewicz zatrzymał się nagle.

— Jakto, aktorką jest?

— Całkiem zwykła historja, przeszłej jesieni uciekła od nas i żyje teraz z jakimś aktorem. — Zaśmiał się surowo i dziko.

— A ja nic o tem nie wiedziałem... — powiedział Wasyl Ignatjewicz z lekkim wyrzutem. — Nic mi o tem nie pisaliście.

— Pocóż jeszcze pisać — mówił z uśmiechem syn. — Nie jest to wcale miła wiadomość.

W myśli swej widział Wasyl Ignatjewicz tę żywą, miłą i niewinną twarz ośmioletniej dziewczynki. „Ojcze opowiedz mi bajkę!“ słyszał jej delikatny i słodki głosik. Smętek ogarnął jego duszę. Zdawało mu się, że nie przechodzi teraz przez ten ogród, w ktyrym przepędził najpiękniejsze i najszczęśliwsze chwile swego życia, lecz przez jakieś miejsce nieznane i obce, gdzie zamiast starych i pięknych drzew zasadzono nowe, a starą żyzną ziemię zastąpiono inną...

Już byli przed domem. Przez oświetlone okna można było widzieć siedzącą nieruchomie w fotelu kobietę. Jej twarz wyglądała chorobliwie i blado. Czyjaż twarz mogłaby to być? pyta sam siebie. Ta ukochana, młoda żona, którą pozostawił, nie mogłaby tak wyglądać. Ta twarz, którą tu widzi, to jakaś inna, obca, nieznana, straszna. Wasyl Ignatjewicz zatrzymał się i przemówił cichym głosem do syna.

C. d. n.

wzrasta, niż maleje. Pragnąłem, aby to dzieło sztuki było w Krakowie, który jest sercem całej Polski, a którego piękność czuje się dopiero i ocenia należycie, przypatrując się innym obcym, chociażby bogatszym, ale nigdy piękniejszym lub droższym sercu miastom.

Pragnąłem, aby pomnik ten stanął na miejscu ciągle i dla wszystkich dostępnem, gdzie ustawicznie wrze życie miasta; aby był nietylko symbolem dla wspomnienia ale także zwiastunem przyszłości. Gorącem życzeniem Paderewskiego było, aby jego nazwisko pozostało w ukryciu, ale nadeszła chwila, w której trzeba było rzecz wyjawić i mowca zaznacza też, że uważa za obowiązek każdego Polaka przyczynienia się czem kto może, do uświetnienia pięknych chwil historji.

Deputacja przepędziła jeszcze dłuższy czas w rozmowie z Paderewskim i jego małżonką.

Po przyjęciu deputacji wyjechali państwo Paderewscy zaraz do Szwajcarji, skąd udadzą się do Afryki na dłuższy pobyt.

We Wiedniu bawił także architekt z Krakowa Zubrzycki, który razem z deputacją i Paderewskim omawiał szczegóły ustawienia pomnika.

Pomnik ten stanie na placu Matejki na linji, idącej od ulicy Asmyka ku przeciwległym kamienicom. Według ostatnich wiadomości, podanych przez artystę Wiwulskiego, odlano już ostatnią figurę, tak, że pomnik stanie w Krakowie w lipcu b. r.

Przestrzegamy P. T. Kupców przed akwizytorami anonsowymi, niezaopatrzonymi w legitymację z Administracji „Gazety Powszechnej“ — zdarzyły się bowiem wypadki, że jacyś oszuści wzięli od firm zamówienia i zainkasowali odrazu pieniądze, nie oddając ich nam, a obecnie strony przychodzą do Administracji ze słusznemi pretensjami.

Z miasta.

Z teatru miejskiego. W sobotniej nowości teatru miejskiego w sztuce p. H. K. Roztworowskiego „Pod górę“ grają pp. Wolska, Solska, Słubicka, Leszczyński, Weychert, Mielnicki, Siemaszko, J. Węgrzyn, Stanisławski, Jednowski i Miarczyński. W piątek bieżącego tygodnia, w przeddzień rocznicy powstania styczniowego 1863 r. teatr miejski wystawia „Kordjana“ Słowackiego.

Teatr ludowy. Dziś „Opowieści Imci Pana Dymka“ Klemensa Bąkowskiego, zyskujące coraz większe powodzenie. We środę wieczór premjerowy aktualnej sztuki pt. „Pan Mecenas“, napisanej przez autora krakowskiego, kryjącego się pod pseudonimem „Older“. Ciekawe tło i akcja, odgrywająca się w kancelarji adwokackiej (I i III akt), a szczególnie konflikt na tle stosunków adwokackich, budzi wielkie zainteresowanie wśród świata prawniczego. „Pan Mecenas“ powtórzonym będzie we czwartek i piątek. Odbywają się próby z wielce komicznej i pełnej zdrowego humoru farsy angielskiej pt. „Ciotka Karola“, która ukaże się po raz pierwszy w sobotę.

Bal Czytelni akademickiej. Onegdaj odbyło się pełne posiedzenie Komitetu gospodyń honorowych balu „Czytelni Akademickiej“ przy współudziale protektora profesora dra Zolla (mł.), na którem przewodniczący Komitetu Akademickiego zdał sprawę z dotychczasowej działalności. Ze sprawozdania wynika, że zainteresowanie stale wzrasta, czego dowodem zgłoszenia i z prowincji. Wobec tego nie ulega wątpliwości, że będzie to jedna z największych i najpoważniejszych zabaw w tegorocznym karnawale. Komitet gospodyń po omówieniu technicznej strony urządzenia balu uchwalił kooptować do swego grona resztę pań ze sfer uniwersyteckich, aby bal ten stał się balem akademickim w całem tego słowa znaczeniu.

Wieczorek urzędniczek pocztowych. Stowarzyszenie Urzędniczek pocztowych przypomina, że wieczorek taneczny, z którego dochód przeznaczony na budowę własnego domu, odbędzie się we środę dnia 19 bm. w Klubie pocztowym przy ulicy Lubicz. Wydział pokłada nadzieję, że zabawa na tak humanitarny cel uzyska poparcie u szerszej publiczności.

Z karnawału. Karnawał ożywia się z dniem każdym. Szczególnie dni ostatnie: sobota i niedziela zaznaczyły się szeregiem zabaw tanecznych, urządzonych przez poszczególne stowarzyszenia krakowskie. W sobotę bawiono się na balu lekarskim, który powiódł się doskonale — tańczono w salach Hotelu Saskiego na pikniku „slawistów“; w Klubie pocztowym zabawa nauczycieli i w sali strzeleckiej certyfikatystów. Wszystkie zabawy cieszyły się dość liczną frekwencją publiczności i pozostawiły u uczestników miłe wspomnienia.

Z zabaw niedzielnych powiodła się niewątpliwie najlepiej zabawa taneczna (z kotyljonem), urządzona staraniem djetarjuszy magistratu. Duże sale Klubu pocztowego zapełniły się już około godziny 9 wieczorem doborową publicznością, wśród której zauważyliśmy także wiceprezydenta dra Szarskiego, p. Grodyńskiego, dyr. magistratu i kilkanaście wybitnych osobistości naszego miasta w przeważnej większości ze sfer urzędników autonomicznych.

Jeżeli już mowa o uczestnikach, to nie można pominąć milczeniem i tego faktu, iż młodzież akademicka stawiła się bardzo licznie i ona to nadawała ton zabawie, zapewniając jej także świetny sukces pod każdym względem. Pląsy wszelkiego gatunku, prowadzone przez dzielnych aranżerów z pośród młodzieży akademickiej, przetrwały z niesłabnącem temperamentem i ochoczością do białego rana. Do kadryla stanęło około 130 par. Także i pod względem finansowym zabawa djetarjuszy doskonale dopisała. Pokaźny dochód przeznaczono na cele własnego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy funkcjonarjuszy autonomicznych.

Wycieczkę sankami do Morskiego Oka i Doliny Kościeliskiej urządza sekcja wycieczkowa krak. Ogniska nauczycielskiego w dniach 30 i 31 stycznia i 1 lutego b. r. Koszta wycieczki do Morskiego Oka z powodu zniesienia biletów powrotnych i podwyższenia taryfy kolejowej wynoszą 25 K od osoby (bez kolei 11 K) do Dol. Kościelskiej 21 K, (bez kolei 7 K), Koszta obu wycieczek 34 K. Zgłoszenia do 20 stycznia przyjmuje między 4 a 6 godziną popołudniu sekcja wycieczkowa Ogniska nauczycielskiego w Krakowie, ulica Kanonicza 19 I. piętro. Poza godzinami biurowemi zgłoszenia przyjmuje i wyjaśnień udziela Jan Szkodziński nauczyciel w szkole im. św. Florjana w Krakowie pl. Matejki l. 11. Na odpowiedź pisemną należy dołączyć markę.

Posiedzenie Rady miejskiej odbędzie się w dniach 19 i 20 b. m. Na porządku dziennym: Projekt noweli do ustawy budowlanej; projekt ustawy o obowiązku właścicieli domów łączenia kanałów domowych z publicznymi; wybór członków Wielkiego Wydziału Kasy oszczędności; przyjęcie sprawozdania kuratorji kursów im. Baranieckiego i zamianowanie profesora Rostafińskiego dyrektorem tych kursów; wybór członka Rady szkolnej okręgowej; sprawozdanie archiwum aktów dawnych m. Krakowa; regulacja ulicy Grodzkiej i pl. Dominikańskiego. Na poufnym posiedzeniu będzie traktowana sprawa przyjęcia do gminy kilku poddanych rosyjskich.

Z Magistratu. Wczoraj odbyło się posiedzenie sekcji ekonomicznej pod przewodnictwem r. Beringera, na którem zmieniono § 12 projektu ustawy o obowiązku właścicieli do połączenia kanałów domowych z kanałami miejskimi, oraz ustawy o opłacie gminy za to połączenie, a to z powodu § 16 noweli do ustawy budowlanej. Dalej uchwalono kilka pozycji budżetu na rok 1910 odnośnie do zakładu czyszczenia miasta.

Pożyczka gminy m. Krakowa. Austro-Węgierski Bank zgodził się na przyjmowanie w zastaw tak w zakładach głównych, jak i we filjach 4 proc. obligów pożyczki gminnej z r. 1909 i udzielać będzie zaliczek do 75 proc. każdorazowego kursu.

Wagony III kl. przy pociągach pospiesznych. Akcja krakowskiej Izby handlowej, zmierzająca do udostępnienia wszystkich pociągów pospiesznych dla szerszej publiczności, używającej III kl. uwieńczoną została wreszcie pomyślnym rezultatem. Ministerstwo kolei doniosło w czoraj Izbie handlowej, że począwszy od dnia 1 maja 1910 zniesione zostaną ograniczenia dla podróżujących III kl. przy pociągach pospiesznych Nr. 7 i 8 (Wiedeń 7·45 — Kraków 3·03 Lwów 8·55, uwzgl. Lwów 7·00 — Kraków 12·56 — Wiedeń 8·10). Nadto zamierzonem jest wstawienie drugiego wozu III. kl. przy pociągu pospiesznym Nr. 3 (Lwów 12·45 — Kraków 5·49). Żądania szerokiej publiczności, a zwłaszcza świata kupieckiego, uzasadnione zupełnie wobec znacznego podwyższenia cen jazdy zostały teraz uwzględnione.

Notoryczny samobójca. Wczoraj przyprowadził policjant na Pogotowie ratunkowe Wł. Izdebskiego, 23-letniego czeladnika szewskiej profesji. Izdebski już od dłuższego czasu cierpi na manję zażywania trucizny w celach samobójczych. Zawsze jednak zawczasu zgłaszał się na Pogotowie tak, że za każdym razem wychodził cało. Wczoraj znów połknął dużą dawkę fosforu. W ostatniej chwili opuściła go jednak odwaga i zgłosił się do policjanta, który go zaprowadził na Pogotowie. Desperat leży obecnie w szpitalu św. Łazarza. Zdaje się jednak, że jeszcze nieraz będziemy mieli sposobność zajmować się osobą notorycznego samobójcy.

Dobrzy państwo. Wczoraj zgłosiła się na pogotowie ratunkowe K. Dziubek lat 23, służąca. Miała ona palce trzy ostatnie u obydwóch rąk strasznie poranione. Przez rozszarpaną skórę i mięśnie przeglądały kości. Zapytana, od czego pochodzą te rany, wyznała, że wczoraj przyszła późno wieczór do domu. Jej pan począł jej z tego powodu robić ustne wyrzuty, wreszcie tak dalece się uniósł, że ją zaczął bić w niemiłosierny sposób. Służąca nie mogła przecież tego znosić i chciała się w tej chwili wynieść. Ale pan nietylko, że ją mocno pobił, ale zamknął na klucz i nie pozwolił się wydalić. Energiczna jednak służąca nie dała za wygraną: przywiązała sznur do framugi okna i z I-go piętra spuściła się na ulicę. Na rękach zostały jej od sznura owe dwie rany, z którymi zgłosiła się na pogotowie.

Chciał się przysłużyć społeczeństwu. Piękną jest zaletą stać do ostatniej chwili życia na stanowisku niewzruszonego antyalkoholika i swoje przekonania nawet życiem przypieczętować, jak to okazał pan F. H. Wczoraj zawezwano do niego (Rynek, l. 10) Pogotowie ratunkowe, bo p. H. 30-letni mężczyzna, wypił w zamiarze samobójczym truciznę. Ale jaką? Oto p. H. zażył za dużą dawkę silnego alkoholu, chcąc przez niszczenie alkoholu przysłużyć się społeczeństwu. Pogotowie jednak przez zastosowanie odpowiednich środków uratowało życie p. H. i poleciło go opiece św. Łazarza.

Epidemja nożowników. Od pewnego czasu zaczynają coraz bardziej grasować po ciemnych zaułkach i ciasnych uliczkach nożownicy. Ubiegłej nocy zgłosiło się na Pogotowie ratunkowe aż trzech pokaleczonych przez nożowników. I tak p. Benedykt F., funkcjonarjusz kolejowy zgłosił się na Pogotowie z głęboką raną w głowie. Pana Wład. S., drukarza, także przyprowadzono ,na Pogotowie, ranionego ciężko w lewą skroń, z przeciętą dolną wargą i bez półtora zęba. Trzecim był pan Kazimierz F., którego na Pogotowie przywiózł policjant ze strażnicy policyjnej (Felicjanek 15). Pan F. miał głębokie rany na głowie, powiekach, lewem ramieniu i na palcach. Z tych trzech poranionych dwóch przy swoich zeznaniach zgadzało się na jedną osobę, która ich napadała i zadawała nożem ciężkie rany.

Na wzór Wandy. Wczoraj po południu przyjechała ze Lwowa do Krakowa 21-letnia elegancka Karolina P. Zaledwie wysiadła z pociągu, zwróciła się w stronę Wisły i jak tylko stanęła na brzegu, koło miejskiej elektrowni rzuciła się w jej fale. Kilku robotników pracujących na brzegu, z trudem wydobyło tonącą Lolę z wody i zawezwało pogotowie ratunkowe, które ją ocuciło i odwiozło do szpitala. Tutaj robiła dyżurnym Pogotowia gorzkie wyrzuty, że ją wyratowali. Umyślnie bowiem przyjechała do Krakowa, by w nurtach Wisły znaleźć śmierć na wzór Wandy, „co nie chciała Niemca“. Zaznaczyła przytem, że przynajbliższej spobności znów się rzuci w fale ukochanej Wisły i w wieczną dal popłynie.

Podgórze.

Wystawa „Ligi pomocy przemysłowej“ zapowiada swoje do nas przybycie na 22 lub 23 lutego.

Handlarz. Sebastjan Woźnica, 55-letni nałogowy złodziej z Rudnika, krząta się codziennie po ulicy

Kraszewskiego, handlując towarami kuchennemi, starzyzną itd. Wczorajszy handel nie powiódł mu się. Oto skradzioną płótnię kaflarzowi Józefowi Mimie poznał właściciel i spowodował przyaresztowanie Woźnicy, u którego stwierdzono, że niebieskie spodnie skradł Janowi Tyrańskiemu, kolejarzowi, a garnek olbrzymi do prania bielizny Antoninie Węglowej. Woźnicę odstawiono na samochodakach do aresztów.

Dobry interes. Stanisława Kobrzyńska, 58-letnia staruszka skradła w gościnie robotnikowi Tobjaszowi chustę do odziewania wartości 5 koron. Ponieważ do Galicji włoska zima zawitała (czego dowodem kręcące się po ulicach sylwetki handelesów z zakupionemi futrami), postanowiła Kobrzyńska sprzedać chustę swojej dobrej znajomej przyjaciółce, którą nawet w lecie krew nie grzeje, jako iż jest już w podeszłych latkach. Nieszczęście chciało, że Tobjasz poznał na chylącej się do ziemi staruszce swoją chustę i odebrał ją sobie wśród pogróżek niewiedzącej o co chodzi kobiecie. Wyjaśniło się dopiero na policji, gdzie Kobrzyńską przymusowo poproszono o wyświetlenie sprawy do cymbry aresztanckiej.

Zawcześnie przyszedł. Jan Dybeł, 43-letni murarz, skradł wyrobnikowi Lutemu zegarek i pieniądze. Z łupem tym ukrywał się w Krakowie i byłby całkiem bezpiecznie do lutego tam siedział, gdyby nie Luty, który go jeszcze w styczniu spotkał i kazał przyaresztować.

Zmarli: Wojciech Salawa, em. dyrektor szkół ludowych, przeżywszy lat 65.

Jan Łątka, nauczyciel muzyki i b. nauczyciel ludowy, przeżywszy lat 25.

Kronika prowincjonalna.

Budowa zakładu dla obłąkanych. Wczoraj nastąpiło na Wydziale krajowym we Lwowie otwarcie ofert w sprawie budowy zakładu obłąkanych dla zachodniej Galicji w Kobierzynie. Ofert nadeszło 9. Najtańszą jest oferta krakowskiej spółki: Klaharz, Dziakiewicz, Better na sumę 2,961.224 K 57 należy z 1 i pół proc. opustu. Najwyższa oferta jest wyższą od tej o 10 proc.

Wystawka wyrobów z szuwaru i słomy, którą w pierwszych dniach lutego b. r. urządza we Lwowie Liga Pomocy przemysłowej, doznała życzliwego poparcia ze strony Rady szkolnej kraj., która zachęciła Rady szkolne okręgowe, ażeby wpłynęły na szkoły swojego okręgu, w których udzielaną bywa nauka tych wyrobów, ażeby te do wystawki Ligi Pomocy przemysłowej się przyłączyły. Wystawka zapowiada się, jak na pierwszą skromną próbę dość okazale i każe przypuszczać, iż potrafi cel swój spełnić i zapozna szerszy ogół społeczeństwa z tą ważną, a dotąd nieznaną gałęzią krajowej produkcji.

Kongres polski w Ameryce.

Związek Narodu Polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej rozesłał do dzienników odezwę z zawiadomieniem, że w maju b. r. bezpośrednio po uroczystości odsłonięcia pomników Kościuszki i Pułaskiego, odbędzie się w Waszyngtonie pierwszy kongres narodowy.

Potrwać on ma pięć dni (od 4 do 8 maja włącznie) ewentualnie dłużej. W otwarciu kongresu weźmie udział także prezydent Stanów Zjednoczonych W. H. Taft. Program kongresu wprost olbrzymi. Obrady szczegółowe toczyć się będą w pięciu sekcjach (polityczna, ekonomiczna, oświatowa, naukowa i sztuki polskiej, emigracyjna.) Referatów z różnych dziedzin wygłoszono będzie wielka liczba. Przemawiać mają między innymi: Aleksander Świętochowski, Marja Konopnicka, Tadeusz Korzon, Bolesław Limanowski, Ignacy Paderewski, Aleksander Brueckner, Wacł. Sieroszewski, Józef Chociszewski, Dr Zygmunt Gargas, Wojciech Kossak, Marcin Biedermann z Poznania, Wł. M. Kozłowski, Dr Ernest Bandrowski (?) prezes T. S. L. i Ludwik Solski (?) dyr. Teatru miejskiego w Krakowie.

Na pierwszem posiedzeniu ogólnem po zagajeniach w języku polskim, nastąpi odczytanie trzech referatów w języku angielskim: Rzut oka na historję polską do r. 1795 — dr. Henryk E. Kałusowski. 2) Życie Polski w okresie porozbiorowym i wykazanie wysokości jej kultury i pracy cywilizacyjnej na równi z innymi narodami — dr. Kazimierz Żurawski. 3) Prawa narodu polskiego, oparte na dziejowych i cywilizacyjnych zasługach, M. Heliński.

Po wszelkie informacje, dotyczące zjazdu, zgłaszać się należy pod adresem: „1406—1408 Division,“ Str. Chicago III (Związek Narodowy Polski) Press And. Information Department of The Polish National Alliance Ameryka.

Z senzacyjnego procesu Borowskiej.

Z poniedziałkowej rozprawy.

(popołudniu).

Borowska wchodzi zwolna, jak zawsze. Pielęgniarka (dziś bez czepeczka) niesie za nią 2 jaśki które podkłada Borowskiej na pleciony fotel.

Przewodniczący ogłasza, że trybunał uchwalił wezwać na świadka pannę Błachecką, dwóch innych zaś osób podanych przez obrońcę na świadków nie wezwie wcale.

Na salę wchodzi majestatycznym krokiem cała w czerni

Regina hr. Tyszkiewiczowa

przybyła świeżo z Warszawy, by dać świadectwo prawdzie. Rano widziano ją w przedpokoju ocierającą łzy — teraz także widać na niej duże wzruszenie. Ogólne zainteresowanie skupia się na tej postaci, dziwnie zewnętrznym swoim wyglądem przypominającej Borowską. Ktoś rzuca uwagę, że nawet z twarzy są podobne — obie jednako blade. A gdy się naprzeciw siebie znalazły te dwie kobiety, które opinja publiczna uznała za rywalki — Borowska utkwiła przenikliwe swe oczy w hr. Tyszkiewiczową i przez cały czas jej zeznań nie spuściła z niej oka, jakby ją przeszyć chciała swym wzrokiem.

Przewodniczący zaczyna zadawać świadkowi pytania objaśniając, że podczas śledztwa p. Tyszkiewiczowa nie wiedząc, czy będzie mogła przybyć na rozprawę z Warszawy, gdzie stale przebywa, zażądała zaprzysiężenia przez sędziego śledczego.

— Kiedy pani poznała nieboszczyka?

— W roku 1906 powierzyłam mu prowadzenie mych spraw. Nie były one pilne, więc leżały jakiś czas.

— W 1907 nie mieszkała pani w Krakowie, a w 1908?

— Dopiero od września.

— To jest czas, kiedy Lew. częściej się znosił z Bor.

— Wtedy dowiedziałam się, że Lew. prowadzi sprawę Bor. Było to przy takiej sposobności. Pewnego razu Lew. zaproponował mi, bym poszła z nim na kolację. Na ulicy w sieni przypomniało mu się, że ma iść do jakiejś swojej klientki. Wróciliśmy do kancelarji, by napisać bilet przepraszający. Dziękował mi, że nie musi spędzać wieczoru z tą kljentką, która go bardzo męczy. Ekspresowi polecił, by odniósł tę kartkę do Bor. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się o niej.

— Czy kiedyindziej nie żalił się Lew. na Bor.

— Żalił się. że go nachodzi, że maltretuje go swą sympatją, że on pozwala się dlatego tylko maltretować, bo widzi w niej kobietę bardzo nieszczęśliwą.

— Kiedy pani wróciła z Warszawy?

— W grudniu, potem znowu wyjeżdżałam i wróciłam w dniu rozprawy z Hacek.

— Jaki Lew. był po tej rozprawie?

— Był fizycznie i moralnie rozstrojony. Wierzył święcie w niewinność Bor. Mówił, że każdy nowy świadek był dla niego torturą, obawiał się, że zemdleje na sali. Bor. dodawała mu odwagi. Gdyby powziął był najmniejsze podejrzenie o jej winie, byłby w tej chwili na sali złożył obronę.

— Czy chorował po tej rozprawie?

— Tak. Nawet dość ciężko.

— Nie doszło do pani wiadomości ze strony Lew. — w ostatnich czasach stosunek pani do Lew. był serdeczny — czy Bor, wiedziała o tem?

— Przypuszczam. Gdy starania jego o rozwód były bliskie urzeczywistnienia, nie tail się z tem.

— Lew. mówił pani co zrobi, gdyby rozwód się nie udał wedle prawa austrjackiego?

— Miał kilka projektów. Ponieważ był adoptowany przez brata swej matki, chciał wyjechać do Chorwacji. Był także w projekcie wyjazd do Królestwa. Było to wszystko zbyteczne, bo żona Lew. na rozwód się zgodziła.

— Czy wie pani o tem, że Bor. była o panią zazdrosną?

— Nie. Nie myślałam o tem. Nie uważałam jej za rywalkę!

Lewicki ucieka przed Borowską!

— Czy Lew. nie opowiadał pani czegoś bliżej o Bor.? Co mówił?

— Na początku zimy mówił, że Bor. go nachodzi. Gdy raz była upomnieć się o swój proces, kazał jej przyjść o 6 wieczór. W nocy o 1 usłyszał pukanie do okna i drzwi. Zareagował ostro na to. Bor. wycisnęła szybę, otworzyła drzwi i weszła. Nastąpiła gwałtowna scena.

— Czy zna pani jeszcze podobną jaką scenę?

— W końcu kwietnia, kiedy przyszłam o szóstej do kancelarji Lew., bośmy mieli iść na spacer — spóźniłam się, drzwi zastałam zamknięte, znalazłam kartkę wetkniętą w szczelinie między progiem a słomianką. Napisane było: „Uciekam przed Borowską. Idę do cukierni na Florjańską“. Nie było go tam jednak, spóźnił się, wreszcie przyszedł. Na moje wymówki odpowiedział, że musiał chodzić tak długo, by zmylić swe ślady wobec Borowskiej. Powiedział mi, że Bor. przyjechała po to, aby Daszyńskiego zastrzelić. Pisała o tem do niego. Pokazywał mi kartkę. Lew. mówił, że o to niema obawy. Ale to jest histeryczka, gotowa się jeszcze mówić, że on ją do tego namówił. (Pani Tysz. prosi o szklankę wody). Opowiadał, że tego dnia Bor. w kancelarji żądała widzenia się z nim w cztery oczy — na co on się nie zgodził, żądał by przy tem był koncypient jego p. Dąbrowski. Na to znowu Bor. nie chciała się zgodzić. Wtedy wyszedł z biura, a gdy wrócił o 6-tej zastał ją jeszcze w kancelarji. Zapytał czego chce od niego. Zażądała fotografji swoich. Znalazł je i oddał. Zapytał: więc pani nic więcej odemnie nie chce? — Odpowiedziała: Nic. Wyszła, ale za chwilę wróciła pod pretekstem, że coś zapomniała. Gdy jej tę chusteczkę, czy jakiś inny drobiazg chciano wynieść, nie zgodziła się na to, mówiąc, że sama to musi sobie wziąć. Lew. opowiadając mi to, wyraził się: „Umyślnie to zostawiła, by miała powód przyjść jutro“.

— Czy nie była pani kiedy świadkiem rozmowy między Lew. a Bor.?

— Nie.

— Znała pani zwyczaje Lew., rozkład mieszkania?.

— Znałam.

— 4 czerwca był u pani. Donosił telefonicznie, że będzie.

— To ja telefonowałam do niego, czy nie będzie miał jakiej przeszkody. Gdy odpowiedział telefonem zdziwił mnie bardzo uroczysty sposób mówienia jego. Zapytałam, czy konferencja się odbyła z kljentką. Odpowiedział: „jest właśnie u mnie.“ Opowiadał mi potem, jak darła jego fotografię. Gdy przyszedł do nas o wpół do 9, był w dobrym humorze, zapraszał mnie na rozprawę jutrzejszą Jasiński-Bulas. Prosiłam go, by przed rozprawą wypoczął, aby miał świeższy umysł.

— Jakie miał plamy na najbliższą przyszłość?

— W następną sobotę wybierał się do Warszawy. Mieliśmy wrócić razem.

— Jak się Lew. zapatrywał na kwestję samobójswa w ogóle? Czy mówił kiedy o tem?

— Nigdy. Nie miał powodu do tego.

— Gdyby tego wieczoru miał się spotkać z B., byłby pani wspomniał o tem?

— Przypuszczam, że tak.

— O czem zresztą mówiliście państwo?

— Mówiliśmy o mieszkaniu. Swoje prywatne miał odstąpić bratu, sam się przeprowadzić gdzieindziej, wyraził się wtedy: „przez ten alembik się nawet Bor. nie przeciśnie."

— Czy na gąbce w mieszkaniu Lew. nic nie zwróciło pani uwagi?

— Gąbka wisiała przy umywalni we czwartek wieczór. Była zupełnie białą i czystą. Po katastrofie widziałam ją czarną, zniszczoną, w kuchni na drzwiczkach od lufcika pieca.

— Znaleziono zęby Lew. w szklance. On przecie uważał na formy, czy byłby to zrobił, gdyby Bor. była w jego mieszkaniu?

— Uważałby to za uchybienie. Zanadto dbał o siebie, by się dobrowolnie obniżał w czyichś oczach.

— We czwartek, gdzie była w jego mieszkaniu pani fotografia?

— Na stoliku koło łóżka.

— A na pianinie?

— Były dwie duże fotografje Lew. przeznaczone dla mnie.

— Podczas rewizji mieszkania nie znaleziono żadnej z tych 3 fotografji.

— Gdyśmy mówili o podarciu fotografji Lew. uspokoił mnie, że to nie była żadna z tych dla mnie.

— Pani nie przypuszcza, żeby Lew. popełnił samobójstwo?

— Ani przez jedną chwilę.

— Czy mówił pani o sprawie ze Szczep., że go to truje?

— Nie.

— Wychodząc od pani, był wesół i obiecywał dzieciom, że przyjdzie nazajutrz.

— Tak, miał przyjść zaraz po rozprawie.

— Nad łóżkiem Lew. był obraz z lampką?

— Matki Boskiej i głowa Chrystusa. Nie przypominam sobie, by ta lampka się paliła.

— Jak pani sobie tłumaczy, że Bor. była w nocy u Lew. Podobno mieli się zmówić, że się zejdą pod Sokołem.

— Nie sądzę.

— Czy powie pani co jeszcze?

— Gdy Bor. potargała fotografję, przestrzegałam go, że mam złe przeczucie. Na to Lew. rzekł: „Wątpię, tyle odwagi nie będzie miała. Na ulicy mnie nie zastrzeli, mogła by kogo innego trafić. W kancelarji zawsze będzie ktoś z personalu, a w nocy ona u mnie nigdy nie będzie".

Pytania zastępców prawnych.

Wotant Jasiewicz: Telefonowała pani do niego. Odpowiedział uroczystym tonem. Czy wieczorem żądała pani wyjaśnienia od niego?

— Nie.

— Kiedy wyszedł od pani?

— Koło trzy na jedenastą.

Prokurator: Ile spraw pani prowadził Lew.

— Kilka.

— Widziała pani u niego te akta?

— Tak, były w sypialni na stoliku.

— A ostatniego dnia zajmowała panią ta sprawa?

— Nie.

— Kiedy Lew. zeszedł się z panią, nie mówił, że ma się jeszcze z kimś widzieć?

— Zdaje mi się, że mówił o p. Bylickim, ale to było tylko przelotnie. Godziny nie wymienił.

Dr Klębk. — Wieczór w czwartek, gdzieście państwo byli?

— Na spacerze.

— Kiedy pani wróciła do domu?

— Koło 3 w nocy. Wsiadłam w dorożkę, a on powrócił do domu.

— Czy mówił co o samobójstwach innych ludzi?

— Z końcem maja gdy przyszedł po mnie, mówiliśmy o znajomym moim, który się zastrzelił. Lew. powiedział: „dziwnie głupi człowiek, żeby samobójstwem dawać widowisko gawiedzi, ono nie jest wyjściem z żadnej sytuacji. Albo samobójstwo z miłości! Kobieta, jak szpilkę do kapelusza może do swej osoby potem przypiąć opowieść, że ktoś się dla niej zastrzelił..."

Dr. Klębk. — O czem mówił ostatniego wieczoru? Czy był zdenerwowany?

— Mówiliśmy o urządzeniu mieszkania, biura. Zauważył, że za dużo miejsca wolnego na ścianie. Chciał zawiesić tam strzelby. Odradziłam mu, a synek mały przypomniał mu duży obraz. Począł go całować i pieścić. Mówiliśmy o Truskawcu.

Dr Kl. — Kiedy we wrześniu między panią a Lew. nastąpił najściślejszy stosunek dwojga ludzi, którzy mają się pobrać?

— Jest o tem wzmianka w listach, które złożyłam do aktów.

Dr Klębk. — Czy w 1909 roku Lew. wyraził obawę jaką przed Bor.?

— Mówiłam już o tem.

Obrońca: — Kiedy pani była u Lw. we czwartek?

— Popołudniu.

Obrońca: — Pan Klębkowski przedłożył bilet Lew. do Byl., by był przed 10 u niego, a Lew. był u pani po 10.

Świadek nic na to nie odpowiada.

Obrońca: Czy Lew. sypiał na sofce?

— Raz mi powiedział, że nie wygodna jest ta sofka.

Przewodn.: Ja o takie głupstwa nie pytałem (wesołość).

Obrońca: Podziwiam moją cierpliwość, że dotychczas wytrzymuję. Ja złożę obronę. Pan przewodniczący nie wie, co mówi.

Przewodn.: Upominam pana obrońcę już po raz drugi. Trybunał może pana ukarać.

Bor.: Potem się mówi, że spał na sofce, a ja przyszłam i strzeliłam.

Przewodn.: Kto to mówił?

Bor.: Poddaje się to, jest w akcie oskarżenia.

Przewodn.: Kto był w nocnej koszuli i zęby wyjął — ten się nie wybierał na spacer (duża wesołość, oklaski).

Dr Klębk.: — Borowska zeznawała...

Bor. z pasją przerywa: Oskarżona, albo pani Borowska! (wesołość).

Przewodn.: Co racja, to racja. Pani Bor. jest wprawdzie pod ciężkim zarzutem, ale jeszcze nie jest skazaną, nie można nią poniewierać.

Dr Klębk.: Zrobię pani tę przyjemność (do Tyszk.) — Jak się Lew. zapatrywał na kwestję uczciwości p. Bor.?

Przewodn.: To pani już zeznawała.

Dr Klębk.: — Czy mówił co Lew. o zarzutach p. Bor.?

Tyszk.: — Miał żal, że Bor. go o tem wcześniej nie uprzedziła.

Propozycja nowych świadków.

Obrońca prosi powołanie nowych świadków, a to:

Dra Adama Rydla na okoliczność, że w Przemyślu młody człowiek Dobrowolski w pół godziny po tańcach zastrzelił się i prof. Cybulskiego, dentystę, na okoliczność, że ludzie noszący zęby sztuczne, gdy przychodzą do domu, starają się natychmiast od nich uwolnić, że przed nocą zwykli wkładać do szklanki dla oczyszczenia.

Przew.: To jest notoryczne. Wszyscy o tem wiemy (wesołość).

Obrońca: Mam na szczęście własne zęby i tego nie wiem.

Prokurator sprzeciwia się powołaniu nowych świadków.

Dr Klębkowski: Teraz ja muszę p. obrońcy odwiedzieć milczeniem.

Z galerji sądowej.

V. — (*Uwagi kobiety*).

Poniedziałek wieczór.

Dzisiejszy dzień nieszczególnie wypadł dla Borowskiej: z ust trzech świadków padały obciążające ją słowa, a dawna powiernica jej sercowych tajemnic zawiodła poniekąd oczekiwania Borowskiej, bo zeznaniami swemi nie wiele przyczyniła się do jej obrony, ale też, zaznaczyć to trzeba, i nie popsuła niczego.

Pani Rydzewska, do której Borowska mówiła po imieniu „Waciu", nie odwzajemniła jej się nazywaniem po imieniu i przez cały ciąg przesłuchania nie dała do siebie przystępu większej serdeczności, trzymając się we wszystkiem z pewną rezerwą. Rozumiało się trudne położenie tej kobiety, której prawdopodobnie po raz pierwszy przyszło świadczyć przed sądem w obec tak licznego audytorjum, ważyła każde słowo odpowiedzi, wiedząc, jak wielką się do jej zeznań przywiązuje wagę.

Borowska widocznie wiele spodziewała się po dawnej swej przyjaciółce, bo z ufnością odnosiła się do niej i nawet. gdy pytania przewodniczącego zawadziły o dawniejsze pożycie małżeńskie Borowskich, co do rzeczy nie należało, Borowska mimo pierwotnego protestu swego odezwała się do niej: „Mów Waciu, mów!", jakby z wiarą, że nic złego o niej nie powie.

Pani Rydzewska zeznawała też pomyślnie dla Borowskiej, za najważniejsze uważam stwierdzenie przez nią, że Borowska nie życzyła sobie bliższych stosunków z śp. Lewickim i gdy ją pocałował. miała mu powiedzieć: „ale kochanką twoją nie będę!"

Wszystkie te jednak słowa p. Rydzewskiej nie zapalały się zbytnio dla Borowskiej, nie wychodziły poza zakres zwykłego stwierdzenia prawdy. To też nie wystarczało to Borowskiej i dlatego napierała się wprost czegoś od niej serdeczniejszego, przypominała jej chwile dawnych zwierzeń swoich i usprawiedliwiań, chciała, by p. Rydzewska powiedziała coś dobrego o charakterze, ale prośby te rozpaczliwe pozostawały bez żywszego echa, duszy jej nastrojowi nie dała pani Rydzewska takiego świadectwa, jak pragnęła tego Borowska,

Drugą kobietą, która wczoraj stanęła przed sądem jako świadek była pani Tyszkiewiczowa, której wejście do całego niezbadanego dramatu poprzedziły również fantastyczne dzieje z czasów jej pierwszego małżeństwa. Szczegóły te mniej znane krakowskiej publiczności i bez żadnego wpływu na dzisiejsze zeznania, więc je pominę, a zaznaczę tylko, że wystarczająca dla tła senzacyjnego jest jej rola, jaką grała p. Tyszkiewiczowa w ostatnim okresie życia śp. Lewickiego.

Kochanka i narzeczona, dla której nawet gotów był zmienic wyznanie, by tylko pożądany rozwód uzyskać i z nią się ożenić, musiała przecie budzić senzację na sali samem swojem zjawieniem się. Cóż dopiero, gdy zasiadła na krześle świadków naprzeciw Borowskiej, niemal oko w oko! Wszystkich spojrzenia skierowały się na te dwie kobiety, które w jednym czasie łudziły się miłością śp. Lewickiego, tesame wiersze odeń otrzymywały, z objęć jednej przechodził on do drugiej, dzielił się cały na dwie istoty — on, twórca teorji o dwuosobowości, jak twierdzi Borowska. Przed jedną miał wygadywać na drugą i wypierać się wzajemnie wszelkich głębszych podkładów tego uczucia.

A jednak Borowska nie zdołała przytoczyć nic ujemnego ze słów śp. Lewickiego o Tyszkiewiczowej, podczas gdy ta ostatnia rzuciła taki szereg oskarżeń Borowskiej, zasłyszanych z ust Lewickiego, że u wielu na sali utrwaliła się opinja, o tem, że Borowska narzucała się ze swą miłością Lewickiemu, a on przed nią uciekał.

Znajomość psychiki ludzkiej wprawdzie mówi, że bardzo możliwą jest taka buffonada u mężczyzny, któremu nieraz imponuje, że może przed drugą kobietą pochwalić się, jak to inna jakaś zamęcza go swoją miłością. Ale ta dziwna konsekwencja, z jaką powtarzał Lewicki te historje o narzucaniu się Borowskiej, także przed innemi osobami, o którym zaimponowanie, mężczyznom, może mu nie tak bardzo chodziło, to wszystko, poparte zeznaniami pp. Dobrzańskiego i Kosińskiego, osłabia tłumaczenie tego faktu zwykłą tylko fantazją poetycką.

Borowska podczas zeznań Tyszkiewiczowej siedziała cały czas nieruchomo, świdrując ją oczyma swemi na wylot. Kurczowo ściśnięte usta świadczyły o zaciętej walce wewnętrznej, jaka się w duszy jej rozgrywała.

Tyszkiewiczowa zdawała się nie zwracać na nią uwagi. Raz tylko z dumą i pewnością swej wyższości rzuciła jakby z łaski rękawicę już zwyciężonej: „nie uważałam jej przecież za ryw alkę!"..

A jednak naprawdę toczyła się między temi dwiema kobietami milcząca walka uczuć ku temusamemu człowiekowi, który jeszcze poza grób zabrał ze sobą jednej miłość drugiej może... przekleństwo. (?...)

*

Pobudki czynu.

Przez dłuższy czas nie podnoszone zarzuty w związku z zarzucanem Borowskiej szpiegostwem wznawia obecnie warszawski „Kurjer Poranny“:

„Jakie były bezpośrednie pobudki mordu dokonanego na tle tego stosunku pomiędzy Borowską a Lewickim?... To powinny wyjaśnić teraźniejsze rozprawy. Niechęć Lewickiego do zajmowania się w dalszym ciągu sprawą Borowskiej i zamiar zerwania z nią wszelkich osobistych a nadto prawniczych stosunków nie ulegała w ciągu maja żadnej wątpliwości. Jest to ten właśnie stan rzeczy, w którym Borowscy od dawna zapowiedzieli Lewickiemu śmierć.

Wyjazd do Warszawy i zapowiedziane małżeństwo z hr. Tyszkiewiczową, której niechęci Borowska miała powód obawiać się i którą posądzała o wpływ na Lewickiego w duchu dla Borowskiej najniekorzystniejszym, wprowadziły Borowską w stan trwogi, którą uzasadniać zresztą mogło tylko złe sumienie.

Przypuszczenie, że Lewicki mógł z sobą przywieść z Warszawy jakieś dokumenty, może jakieś listy Borowskiej, których istnienie mogło ją udręczać, jest dość prawdopodobne, jeśli zeznania Bakaja uzna się za prawdziwe. Prezydent sądu zaś nie bez nacisku stwierdza obecnie, że świadkowie w jej procesie z Haeckerem nie kłamali. Głównym świadkiem był właśnie Bakaj...

O te listy szło zapewne Borowskiej, nie o jakieś listy miłosne. Do nich dojść musiała choćby po trupie. Po strzale, nad konającym bezprzytomnym Lewickim, Borowska z talentem szpiega odbywa jeneralną rewizję jego papierów, niszczy niektóre z nich, zostawia dużo takich listów, które kompromitują ją jako kobietę, a między innemi i ten, o który jej rzekomo najbardziej chodziło, nie zostawia nic, coby ją mogło kompromitować politycznie i zapewne resztą przekonywuje się, że przypuszczenie jej o plonie Lewickiego z wyjazdu do Warszawy było tylko urojeniem trapiących ją Erynnji“...

*

Przewidywania wyroku.

Warszawska „Nowa Gazeta“ uwagi swoje o taktyce obrończej Borow. kończy i takie wywodzi kombinacje o możliwości potępiającego wyroku:

„Podczas, gdy Borowska przerzuca się od „osłabionego milczenia“ do wybuchów irytacji, od łez do ironicznych uśmiechów i sarkazmu — przewodniczący jest wciąż jednakowy. Z postępowania jego widać odrazu: trybunał cały (który się z nim zgadza) wraz z nim jest przekonany bezwzględnie o winie Borowskiej; robi wszystkie ustępstwa jej możliwej słabości, jej wyczerpaniu — zdecydowany jest jednak nie dopuścić do zbijania rozprawy z drogi intermezzami Borowskiej, jej coraz nowymi oświetleniami wypadków i faktów itp. Gdy naprz. Borowska złoży jakie niezgodne z poprzedniem zeznanie, nie zechce odpowiadać na pytanie, robi zwrot niespodziewany, dygresję niepotrzebną — grzecznie, lecz stanowczo zwraca ją z drogi — wykazując natomiast wszelką gotowość do zarządzenia pauzy, gdy Borowska okazuje oznaki wyczerpania, lub zbytniego wzruszenia i t. p. Jak dotąd, panuje przewodniczący nad rozprawą i ławą przysięgłych w szczególności. To też ma się ogólne wrażenie, że wynik będzie napewno dla Borowskiej niekorzystny.

Ława przysięgłych też nie jest tego rodzaju, aby dała się przekonać subtelnościami psychologicznemi. W skład jej wchodzą przeważnie małomieszczanie: kupcy, rzemieślnicy, trzech żydów konserwatywnych, chałatowych — ludzie o nieskomplikowanych, prostolinijnych pojęciach moralnych, dla których nie podlega wątpliwości, że winny musi być ukarany. A że Borowska jest winna — o tem prawie nikt nie wątpi. Zresztą, może mogłaby ich wzruszyć jakaś wielka niedola, jakiś mus życiowy, jakaś tragedja uczuć prostych i silnych — ale tej nie zobaczą u Borowskiej, u której wszelkie uniesienia (oprócz bardzo wybitnych seksualnych, czysto fizjologicznych) pochodziły z głowy raczej. Jej intelektualne, jeżeli się można tu tak wyrazić, argumenty, apelacje do rozumowanej etyki, jej uwydatniające się wreszcie we wszystkiem panowanie nad postępkami rozumu zimnego, który odgrywał rolę przezornego i chroniącego od złych następstw czynów już dokonanych, sługi instynktów — nie trafią do uczuć tych ludzi.

Szósty dzień rozprawy.

Wtorek

Zwyczajowe już spóźnienie półgodzinne przydłuża się jeszcze więcej, tak że nawet po wpół do dziesiątej niema Borowskiej na sali. Wyjaśnia się niebawem dlaczego to, bo wnet się rozchodzi **wieść o zemdleniu Borowskiej**. Rzeczywiście sprawdza się, że Borowska, wychodząc z poczekalni lekarskiej, padła w drzwiach na ziemię zemdlona. Cucenie jej trwa dłuższy czas, widocznie pomału nabiera sił, by mogła wejść na salę.

A tymczasem nudząca się publiczność zabawia się ploteczkami, tu i ówdzie widać schyloną jakąś głowę nad wczorajszym numerem „Powszechnej,“ która senzację zrobiła swoim wywiadem z lekarzem psychiatrą, do stołu naszego podchodzą ludzie, którzy czują się dotknięci wczorajszą charakterystyką przy opisie audytorjum sądowego.

Szerlok-Holmiada.

Nagle jak grom, wyszła nowa senzacja na salę, na razie w formie pogłoski, nim jej urzędownie nie ogłosi przewodniczący. Oto okazało się, że jeden z głównych pocisków dr Kłębkowskiego, który miał śmiertelnie ugodzić w Borowską, owa **historja z odciskami skrwawionego palca na albumie**, nie dowodzi niczego, bo przy badaniach daktyloskopicznych, przedsięwziętych zaraz w niedzielę przez znawców-lekarzy, nie stwierdzono ani, żeby to był odcisk palca, ani też, żeby to była krew. Naturalnie, że i to jeszcze niczego nie dowodzi o niewinności Borowskiej, ani też nie osłabia innych zarzutów dr Kłębkowskiego, cała ta bowiem historja zbyt wydawała się fantastyczną tembardziej, że albumu tego wcale nie zabrała z mieszkania Lewickiego komisja sądowa natychmiast po katastrofie, a został on przedłożony dopiero na rozprawie przez dr Kłębkowskiego.

W innej części sali znowu dysputa **o owym knocie ściągniętym w lampie**, która — wedle zeznań Borowskiej — miała zgasnąć od samego strzału. Ktoś mówi, że niewiadomo, czy Borowska później sama lampy tej nie skręciła, wyjeżdżając karetką pogotowia ratunkowego z dogorywającym Lewickim. Inny znowu podaje zasłyszaną gdzieś odpowiedź Borowskiej na ten zarzut — ona nie wie, kiedy którą lampę brała, a lamp tych w kuchni było więcej.

W ogóle zauważyć należy, że audytorjum, stale chodzące na rozprawę od początku, samo zabawia się w Szerloków Holmesów i z dużą drobiazgowością zajmuje się zawikływaniem najbardziej zawiłych zagadnień z tej niezwykłej kryminalistyki. Jak wielki interes przedstawia rozprawa dla sfer prawniczych — dowodem jest fakt, że miejsce przeznaczone dla adwokatów i sędziów stale jest zapełnione, a w krzesłach od paru dni zasiadają dwaj sędziowie-audytorzy wojskowi, major i kapitan. Tak samo uważnie od początku przysłuchuje się rozprawie jakiś radca sądowy z Rosji.

Wychodzę do przedpokoju, gdzie dziś większy niż zwykle gwar. W jednej grupie omawiają wczorajszą pomyłkę dzienników, że halucynacji owej nocnej, iż go wzywają do Borowskiej, uległ nie kapelan więzienny, ale przydzielony do czuwania nad jej zdrowiem lekarz, dr Smolarski.

Czekający świadkowie.

Na ławce ceratowej siedzą świadkowie, z wezwaniami z trzech dni — tylko część ich zapewne będzie dziś słuchaną. Na pierwszy strzał pójdzie inż. Henryk Mianowski, profesor tut. szkoły przemysłowej, którego jeszcze wczoraj chciał przewodniczący zacząć przesłuchiwać, ale odstąpił od tego zamiaru na uwagę obrońcy, że przesłuchanie tego świadka zabierze z półtorej godziny. Prof. Mianowski na prośby męża Borowskiej dotrzymał towarzystwa jej przez kilka miesięcy przed katastrofą — i do tego czasu odnosić się będą jego zeznania i spostrzeżenia.

Na dzień wczorajszy otrzymał także wezwanie dr Marjan Borowski, mąż oskarżonej, ale ani wczoraj, ani też dziś rano nikt go nie widział czekającego na swoją kolej. Na wczoraj wezwano także do złożenia zeznań p. Andrzeja Bylickiego, rygoryzanta medycyny, którego zeznania, obciążające Borowską, odegrają w procesie dużą rolę. P. Bylicki stawił się na wezwanie.

Ci więc trzej panowie powinni być dzisiaj przedewszystkiem słuchani, a potem idą świadkowie, którzy w sobotę jeszcze sami prosili o odroczenie wezwania na wtorek. Z liczby tych czekają też na swą kolej panie: Cynkowa i Stankiewiczowa, tudzież dr Bogdani i p. Lachowski.

Wreszcie idą ci, którzy dopiero na dziś pierwotne wezwania otrzymali — stróżka kamienicy przy ulicy Wolskiej, Urszula Berko, tudzież pomocnicy ś. p. Lewickiego w kancelarji jego: koncypient dr. Dąbrowski i mundantka panna Jasińska. Kto wie jednak, kiedy na nich kolej przyjdzie.

Odroczenie dzisiejszej rozprawy.

Zaglądam na chwilę na salę i widzę, jak przez całą jej szerokość poza krzesłami trybunału biegnie pędem obrońca dr Szalay i przemyka przez przedpokój do poczekalni Borowskiej. Na sali wielkie poruszenie. Niebawem wyjaśnia się wszystko, bo na miejscu swem zjawia się przewodniczący p. Błonarowicz, dzwoni, by się uspokojono i ogłasza:

„Pani Borouska zachorowała.
Rozprawę odraczam do jutra“.

Publiczność niemieje na chwilę, tak na wielu, żądnych senzacji działa to rozczarowanie. Jakaś pani mówi do drugiej:

— Po co ja tak w czas wstała?!...

Dosłownie. Z żalem opuszczają rozciekawione pięcioma dniami rozprawy niewiasty salę sądową, nie wiedząc nawet, kogo obwiniać za ten zawód dzisiejszy. Chyba pana Boga.

Chwytam dyżurnego lekarza, dr Kwiatkowskiego, prosząc o informacje.

— Nic strasznego. Jest bardzo wyczerpana, i osłabiona, mdlała przed chwilą, a tu przychodzą ważni świadkowie, przy których musi mieć pełną wiadomość tego, co usłyszy.

*

Na życzenie dra Rydla zaznaczamy, iż artykuł nasz p. t.: „Możliwość samobójstwa Lewickiego“ opierał się na treści prywatnej rozmowy, w której w przedstawieniu przez nie-fachowca wkradły się pewne niedokładności.

NAJŚWIEŻSZE TELEGRAMY.

Narady Niemców.

Wiedeń. Na wczorajszej konferencji, odbytej pod przewodnictwem dra Luegera w parlamencie, skonstatowano, że przy rokowaniach w październiku r. z., prowadzonych w sprawie ustaw o narodowej ochronie osiągnięto zupełne porozumienie w tym kierunku, że w narodowych kwestjach ochronnych, a zwłaszcza także co do dalszego traktowania ustaw ochronnych, stronnictwa niemieckie mają postępować zgodnie.

Przytem zastrzeżono też porozumienie się późniejsze w sprawie zgłoszenia wniosku w kwestji „lex. Kolisko“. Obecni wyrazili zapatrywanie, że ponowne wzniesienie „lex. Kolisko“ w obecnej chwili w Sejmie dolno-austr. już ze względów formalnych jest niedopuszczalne. Uchwalono i nadal postępować zgodnie w kwestjach narodowych i w tym celu wybrano stały komitet.

Zaprzysiężenie węgierskich ministrów.

Wiedeń. Dziś o godzinie 10 ej przedpołudniem przyjęci zostali członkowie gabinetu Wekerlego, każdy z osobna na posłuchaniu u cesarza. Następnie zjawili się ministrowie nowego gabinetu i złożyli przysięgę.

Wybory w Anglji.

Londyn. Do godz. 1 w nocy wybrano ogółem 92 unjonistów, 77 liberałów, 16 partji robotniczej, 13 nacjonalistów. Unjoniści zyskali razem dotąd 37, liberali 7 mandatów, partja robotnicza 1 maudat. Brak dotąd wyniku jednego z wczorajszych wyborów.

FIRMY KRAJOWE

których popieranie gorąco naszym Czytelnikom polecamy.

Składy maszyn do pisania:
„POLONIA" ul. św. Jana 2.
amerykańska metoda nauki pisania na maszynie.
Przepisywanie i powielanie pod dyskrecją.

Józef Dobrzyński
Kraków Sławkowska 12.
Filia Lwów, Kopernika 11. — Urządza kompletne mleczarnie — maślarnie serkarnie.

BAZAR KRAJOWY
Kraków, Rynek gł. 20.
poleca
burki sławuckie koce, serdaki.

Fabryki konserw i buljonu
J. Różański i S-ka
Bochnia
fabryka konserw owocowych jarzynowych i mięsnych.

Składy maszyn:
JĘDRZEJ KRUKIEREK
skład maszyn rolniczych w Krośnie.

Tkalnie płócien:
MICHAŁ MIĘSOWICZ
Najlepsze płótna.
Korczyna koło Krosna.

Fabryka wyrobów ceramicznych:
Hipolit Śliwiński
Drohobycz — Przemyśl.
Dachówki, cegły, dreny i t. p.

Fabryka tutek:
Tutki
M. Paschalskiego
wszędzie do nabycia.

„Moczenie w łóżku"
usuwa natychmiast nasz „Zbudź się". Przy zamówieniach i należy podać płeć wiek.
Adres: Instytut lekarski Nr. 534. „Regensburg" w Bawaryi. 61

Drobne ogłoszenia po 4 hal. od wyrazu
najmniej jednak 10 słów.

OBIADY

konkuracyjne od 35 ct. zwyż.
Ulica Długa 21 II. p. 460.

Moczenie w łóżku.
Natychmiastowe odzwyczajenie zapewnione. Objaśnienia bezpłatne. Podać wiek i płeć! Swietne pisma dziękczyn. Polecenia lekar. **Instytut „Sanitas", Velburg p. 89**, Bawarya. 92

Stały dochód

zapewnia

Młyn mielący 360 kg. razówki na godzinę
z motorem benzynowym 3-konnem, cena 1975 koron.
Młocarnie — parniki — siekacze — młynki
sprzedaje i dostarcza najtaniej

KORNEL KOMORNICKI

Kraków, ul. Dunajewskiego L. 9.
Oferty i prospekty odwrotnie. 208

Kupujcie ziemię

jedynie za pośrednictwem
Banku parcelacyjnego
we Lwowie
który obecnie ma około 6000 morgów w różnych stronach kraju na sprzedaż.

„Królewska"

czekolada wyborowa mało słodka, wyrób własny.
ADAM PIASECKI
Kraków, Floryańska L. 2.
223 **Długa L. 12.**

Kraków, dnia 12 stycznia 1910 r.

Obwieszczenie.

Podaje się do publicznej wiadomości, że celem oddania w przedsiębiorstwo dostawy robót brukarskich dla Gminy m. Krakowa w ciągu roku 1910, 1911 i 1912. odbędzie się w Wydziale ekonomicznym Magistratu (plac WW. Świętych L. 6. II. p.), dnia 4. lutego 1910 r. t. j. w piątek, o godzinie 12 w południe. publiczna licytacya zapomocą opieczętowanych i znaczkiem na 1 K. ostemplowanych ofert. Oferty składać należy na ręce Naczelnika Wydziału ekonomicznego w powyższym terminie do godziny 12 w południe w dniu licytacyi.

Wadyum wynosi 200 koron, które złożyć należy w Kasie miejskiej przed dniem licytacyi.

Warunki licytacyjne ogólne, szczegółowe i deklaracye otrzymać można w oddziale drogowym Budownictwa miejskiego B. w godzinach urzędowych.

Magistrat stoł. król. miasta Krakowa.
348

MIODY

wyborne, czysto pszczelne i naturalne!

Miód patoka, blaszanka 5 kg. . . . . K. 6·40
Miód stołowy do picia, gąsiorek 4 litr. . K. 5·60
Miód à la Malaga do picia, gąsiorek 4 litr. K. 6·60
Zamówione przekazem wszystkie 3 gatunki, razem 18 koron. Beczkami taniej. 173

Wysyła wszystko za zaliczką cały rok.

Pierwszy eksport miodu, Denysów.

Akwizytorów inseratorów poszukuje się,

wiadomość w „Gazecie Powszechnej" Floryańska 32 II. p.

Apteka pod Orłem

w Podgórzu — Mały Rynek
POLECA:
Skład środków uniwersalnych — specyfików krajowych i zagranicznych — przyrządów chirurgicznych i opatrunków — Wody mineralne — Koniak — Malaga — Wina lecznicze. 343

Generalne Agencje Gazety Powszechnej

na Wadowice, Żywiec, Chrzanów, Jordanów, Zakopane, Skawina
do oddania.

Dobra sposobność dla akademików mieszkających na prowincji. Warunki i objaśnienia poda Administracja „Gazety Powszechnej", Kraków, Florjańska 32.

Do Ameryki!

Kto powziął zamiar wyjazdu **do Ameryki** za zarobkiem — niech się zwróci z wszelkiem zaufaniem do od pół wieku istniejącej firmy

B. Karlsberga

w Hamburgu, Ferdinandstrasse 15 A.
która chętnie udziela sumiennych wskazówek co do podróży oraz podaje dokładne obliczenie kosztów i rozkład jazdy z domu aż do **Ameryki**. Na żądanie wysyła też bezpł. dokł. mapę Ameryki.

Co 6 dni nowy program! Co 6 dni nowy program!

Cyrk EDISON

216 **przy placu Wielopole.**

Od piątku 14 do czwartku 20 stycznia 1910 r.
Wielkie polowanie na białe niedźwiedzie w okolicach podbiegunowych. — Dwie wędki na jedną rybę. — Uczciwość małej kwieciarki. — Zmartwychwstanie. — Wydaję za mąż moją służącą. — Australia. — Historya trzewika. — Przemysł drzewny i sporządzanie tratew w alpach włoskich.

W niedziele i święta
2 PRZEDSTAWIENIA 2
po połudn. o 4 godz. wiecz. o godz. 8.

Kto chce mieć tanie i eleganckie ubranie

zrobione z powierzonej lub tamże obranej materyi — podług najnowszych żurnali — niech zamawia u firmy

PIOTR GÓRKA

krawiec
w Krakowie, Rynek gł. L. 34. (Pałac Spiski).

Na prowincję wysyła próbki, modele, sposób brania miary i ceny ubrania. Dla P. T. nauczycieli, akademików i **klasy robotniczej**, tudzież abonentów „Gazety Powszechnej" za okazaniem kwitu 10% taniej. 193

Robotnicy i Robotnice

zdecydowani udać się do Francji lub innych krajów do robót rolnych na kontrakty sezonowe lub roczne, niech napiszą zaraz do

POLSKIEGO TOWARZYSTWA EMIGRACYJNEGO
W KRAKOWIE, UL. KOLEJOWA 3,

podając swój wiek i adres. — Zgłaszać się mogą tylko robotnicy zupełnie zdrowi, trzeźwi i obeznani dobrze z robotami rolnemi. Na odpowiedź należy załączać markę pocztową za 10 hal.

WILLA

uroczo i nader praktycznie położona w pobliżu powiatowego miasteczka, tuż przy olbrzymiej fabryce, z pięknym widokiem, o 8-miu dużych ubikacjach i piwnicach, bardzo dobrze się rentująca i mająca wielką przyszłość oraz do 3-ch morgów gruntu, za 25 tysięcy koron do sprzedania. — Kapitał potrzebny 18 tysięcy koron.

Bliższa wiadomość w Administracji „Gazety Powszechnej". 324

MEBLE

pierwszorzędnej jakości w różnych stylach
kompletne urządzenia pokoi, projektowane przez archit. i art.-malarzy. Wielki wybór tapicerowanych klubowych mebli (w skórze lub bez).

Józef Sperling, Kraków,
ul. Dunajewskiego L. 7 (Podwale 14).

Nowo otworzona

Restauracya i pokoje do śniadań

Tarnopol, przy ul. Agenora L. 9 w domu WP. Bauera
poleca Szanownej Publiczności smaczne i zdrowe potrawy. jako to: Śniadania, Obiady i Kolacye; tudzież różne przekąski, sporządzone na świeżem maśle. Przyjmuje się abonament na śniadania, obiady i kolacye. Ceny przystępne.
102 Z poważaniem **Szubert**

Kupujcie ziemię jedynie za pośrednictwem Banku parcelacyjnego we Lwowie!

W DRUKARNI I STEREOTYPII A. KOZIAŃSKIEGO W KRAKOWIE, UL. KARMELICKA.